

A woman with dark hair tied back, wearing a light-colored top, is shown in profile against a dark, textured wall. The lighting is dramatic, highlighting her face and hair.

NIE MA NIC GORSZEGO NIŻ FURIA PORZUCONEJ KOBIETY

TESS GERRITSEN

GARY BRAVER

Studentka

ALBATROS

Tytuł oryginału:
CHOOSE ME

Copyright © Tess Gerritsen and Gary Braver 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2021

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: Velizar Ivanov/Unsplash.com

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Frankie

Istnieją dziesiątki sposobów, by się zabić, i przez trzydzieści dwa lata służby w bostońskiej policji detektyw Frances „Frankie” Loomis poznała chyba je wszystkie. Pamiętała matkę sześciorga dzieci, która mając dosyć pandemonium w domu, zamknęła się w łazience, podcięła sobie żyły i spokojnie usnęła w wannie z ciepłą wodą. Oraz zbankrutowanego biznesmena, który powiesił się na swoim kosztującym pięćset dolarów pasku ze strusiej skóry: zawiązał go na klamce drzwi i założył pętlę na szyję, po czym usiadł i pozwolił, by reszty dokonał bezboleśnie ciężar jego własnego ciała. A także starzejącą się, przybitą brakiem szans na nowe role aktorkę, która połknęła garść tabletek hydromorfonu, włożyła różową nocną koszulę z jedwabiu i niczym Śpiąca Królewna położyła się na wznak na łóżku. Wszyscy oni woleli odejść w dyskretny, spokojny sposób, starając się nie przysporzyć żyjącym zbyt wielu kłopotów.

Nie tak jak ta dziewczyna.

Ciała zabrały już w worku służby medyczne, a zakrwawiony chodnik miały wkrótce zmyć strugi deszczu, ale Frankie

nadal widzi spływające do rynsztoka rozwodnione strużki krwi. W migających fioletowych światłach radiowozów wydają się czarne jak olej. Jest za piętnaście szósta, do wschodu słońca została cała godzina i Frankie zastanawia się, jak długo dziewczyna tu leżała, nim kierowca Lyfta, wracający do domu po odstawieniu ostatniego pasażera o trzeciej piętnaście, zauważył jej ciało i zdał sobie sprawę, że to nie jest leżący na chodniku toból starych ubrań.

Frankie prostuje się i w padającym deszczu spogląda w górę, na balkon mieszkania na piątym piętrze. Upadek z takiej wysokości w oczywisty sposób tłumaczy doznane urazy – wybite zęby, pogruchotaną twarz. Makabryczne szczegóły, którymi dziewczyna nie zaprzętała sobie pewnie głowy, gdy wspięła się na balustradę i zanurkowała jaskółczym lotem w dół, prosto na chodnik. Frankie jest matką osiemnastoletnich bliźniaczek i wie z pierwszej ręki, jak katastrofalnie impulsywni potrafią być młodzi ludzie. Gdyby tylko ta dziewczyna na chwilę się zatrzymała i zastanowiła, czy ma inne opcje oprócz samobójstwa. Gdyby tylko pomyślała, co dzieje się z ciałem, które uderza o beton, co takie uderzenie robi z ładną buzią i idealnymi zębami.

– Moim zdaniem nic tu już nie zdziałyśmy. Wracajmy do domu – mówi MacClellan, który jest partnerem Frankie. Nad głową trzyma różowy parasol, należący najwyraźniej do jego żony, i trzęsie się z zimna pod wzorzystą czaszą. – Przemokły mi buty.

- Ktoś znalazł jej komórkę? – pyta Frankie.
- Nie.
- To wróćmy na górę i przeszukajmy jej mieszkanie.
- Znowu?

– Jej komórka musi tu gdzieś być.
– Może nie miała telefonu.
– Nie żartuj, Mac. Każdy dzieciak ma komórkę praktycznie przyspawaną do ręki.

– Może ją zgubiła. Albo jakiś przechodzący tędy dupek zabrał komórkę z chodnika po tym, jak spadła.

Frankie spogląda na blaknącą krwawą plamę w miejscu, gdzie głowa dziewczyny zetknęła się z betonem. W przeciwieństwie do ludzkiego ciała komórka w twardym futerale może przetrwać upadek z piątego piętra. Może Mac ma rację. Może w miejscu zdarzenia pojawił się jakiś przechodzień, którego pierwszym impulsem, zamiast udzielić pomocy lub zawiadomić policję, było okraść ofiarę. Wcale by jej to nie zdziwiło; trzydzieści lat pracy w policji mocno nadważyło jej wiarę w ludzi.

– Jeśli ktoś zwinął jej telefon, powinna to nagrać ta kamera – mówi, wskazując kamerę monitoringu zamontowaną na budynku po drugiej stronie ulicy.

– Może i tak. – Mac kicha, najwyraźniej zbyt wymęczony, by go to obchodziło. – Rano wyciągnę od nich zapis.

– Wracajmy na górę. Sprawdźmy, czy czegoś nie przeoczyliśmy.

– Wiesz, czego nie chciałbym przeoczyć? Ciepłego łóżka w domu – kwęka Mac, ale z rezygnacją rusza za nią w stronę wejścia na klatkę.

Winda, podobnie jak sam budynek, jest stara i wlecze się niemilośnie. Wjeżdżając na piąte piętro, zarówno Frankie, jak i Mac są zbyt zmęczeni i przygnębieni, by się odzywać. Deszcz i zimno zaostrzają objawy trądziku różowatego, na który choruje Mac, i w jarzeniowym oświetleniu windy

jego nos i policzki są jaskrawoczerwone. Frankie, która wie, że jej partner jest przewrażliwiony na punkcie swojej przypadłości, patrzy wprost przed siebie, licząc kolejne piętra. Kiedy w końcu otwierają się drzwi kabiny, oboje widzą śmiertelnie znudzonego mundurowego, który strzeże drzwi do mieszkania numer 510 i niemrawo wskazuje drogę dwojgu detektywom. Kolejny gliniarz, który wolałby spędzić noc we własnym łóżku.

W mieszkaniu zmarłej dziewczyny Frankie ponownie przeszukuje salon, tym razem starannie, uważnym okiem matki. Nauczyła się odkrywać ślady przewinień swoich własnych córek: mokre obuwie w szafie po tym, jak wypuściły się na miasto w deszczową noc; wyraźna woń marihuany, którą zalatuje kaszmirowy sweter; zagadkowy wzrost liczby kilometrów na liczniku subaru. Bliźniaczkę skarżą się, że bardziej przypomina więzienną strażniczkę niż glinę, ale może dzięki temu udało im się jakoś przetrwać burzliwy okres dojrzewania. Frankie sądziła, że kiedy wejdą w dorosły wiek, będzie mogła uważać swoje zadanie rodzica za spełnione, ale kogo chciała nabrać? Tak naprawdę zadanie rodzica nigdy się nie kończy. Nawet jeśli dożyje setki, wciąż będzie się zamartwiała o swoje siedemdziesięcioletnie córki.

Ponowne sprawdzenie skąpo umeblowanego mieszkania nie zabiera jej dużo czasu. Większość sprzętów nie kwalifikuje się nawet do sklepu z używanymi meblami. Sofa z pewnością pamięta więcej niż kilku właścicieli, a na drewnianej podłodze pełno jest rys i wyżłobień od bezustannego przesuwania mebli przez studenckich lokatorów. Na biurku stoi pusty kieliszek po winie i laptop, który Frankie odpaliła już przedtem i odkryła, że jest

chroniony hasłem. Obok leży wydrukowany szkic pracy na zajęcia na Uniwersytecie Northeastern.

Piekło nie zna takiej furii: przemoc i wzgardzona kobieta.

Autorką jest dziewczyna, która tu mieszkała. Którą wiozą teraz do kostnicy.

Frankie i Mac przetrząsnęli wcześniej zawartość jej torebki i portfela i znaleźli legitymację Uniwersytetu Northeastern, wydane w stanie Maine prawo jazdy oraz osiemnaście dolarów w gotówce. Wiedzą, że miała dwadzieścia dwa lata, metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, brązowe włosy i oczy, że ważyła pięćdziesiąt pięć kilogramów i pochodziła z miasteczka Hobart w stanie Maine.

Frankie przechodzi do kuchni, gdzie już poprzednio znaleźli w mikrofalówce pojedynczą porcję makaronu z sosem serowym, ciepłą, lecz nieotwartą. Teraz Frankie dziwi się trochę, że dziewczyna podgrzała sobie posiłek, którego w ogóle nie zjadła. Co takiego się wydarzyło, że zostawiła gotowe danie, wyszła na balkon i skoczyła na spotkanie śmierci? Dostała złą wiadomość? Stresujący telefon? Na blacie w kuchni leży książka z twarzą kobiety na okładce. Włosy kobiety płoną, jej usta otwarte są w gniewnym krzyku.

Medea: kobieta i mit.

Frankie wie, że powinna znać mit o Medei, ale od jej studiów minęło już kilkadziesiąt lat i pamięta tylko, że historia ma coś wspólnego z zemstą. W środku znajduje wsunięte za okładkę pismo z wydziału anglistyki: powiadomienie, że została przyjęta na rozpoczynające się jesienią studia doktoranckie.

To kolejna rzecz, która dziwi Frankie.

Znów podchodzi do drzwi balkonowych, które są teraz

zamknięte. Kiedy administrator wpuścił ich wcześniej do mieszkania, były otwarte na oścież i do środka wpadał deszcz ze śniegiem. Na drewnianej podłodze wciąż skrzą się krople wody. Frankie otwiera drzwi, wychodzi na zewnątrz i staje pod osłoną balkonu piętro wyżej. Na dole czekają dwa radiowozy bostońskiej policji; ich hipnotycznie migające fioletowe światła odbijają się w oknach po drugiej stronie ulicy. Za godzinę zacznie się świt, radiowozy znikną, strugi deszczu zmyją chodnik. Przechodnie nie będą wiedzieć, że stąpają po płytach, na których zaledwie kilka godzin temu zgasło życie młodej kobiety.

Mac także wychodzi na balkon.

– Zdaje się, że to była ładna dziewczyna. Jaka szkoda. – Wzdycha.

– Gdyby była brzydka, też byłoby szkoda, Mac.

– Tak, oczywiście.

– I właśnie przyjęli ją na studia doktoranckie. Pismo z wydziału leży na blacie w kuchni.

– Nie mów, naprawdę? Co, do diabła, ci młodzi mają w głowach?

Frankie spogląda na srebrzyste potoki deszczu.

– Cały czas zadaję sobie to samo pytanie.

– Przynajmniej twoje dziewczyny są poukładane. Nigdy nie zrobiłyby czegoś takiego.

Nie, Frankie nie wyobraża sobie czegoś takiego. Samobójstwo to rodzaj kapitulacji, a jej bliźniaczki są wojowniczkami, nieustępliwymi i zbuntowanymi. Zerka w dół, na ulicę.

– Boże, ale wysoko.

– Jeśli pozwolisz, wolałbym nie patrzeć.

- Musiała być zdesperowana.
- Więc uznajesz, że to było samobójstwo?

Frankie nadal patrzy w dół, starając się rozgryźć, co nie daje jej spokoju. Dlaczego intuicja mówi jej, że coś przeoczyła. Że nie powinna jeszcze odpuszczać.

- Jej komórka – mówi. – Gdzie ona jest?

Rozlega się pukanie do drzwi. Oboje odwracają się i widzą zagląającego do środka mundurowego.

– Detektyw Loomis? Mam tu sąsiadkę. Chce pani z nią porozmawiać?

Stojąca na korytarzu młoda Azjatka informuje ich, że mieszka obok. Sądząc po szlafroku i klapkach na nogach, właśnie wstała z łóżka. Wciąż zerka w stronę mieszkania zmarłej, jakby za zamkniętymi drzwiami czaił się niewyobrażalny horror.

Frankie wyjmuje notes.

- Nazywa się pani...?
- Helen Ng. Pisz się N-G. Studiuję na Northeastern. Tak jak ona.
- Znała pani dobrze swoją sąsiadkę?
- Tylko przelotnie. Wprowadziłam się tu przed pięcioma miesiącami. – Helen milknie i znów zerka na zamknięte drzwi. – Boże, nie mogę w to uwierzyć.
- Że odebrała sobie życie?
- Że to się stało tuż obok! Kiedy powiem o tym rodzicom, dostaną szału. Każą mi się z powrotem wprowadzić do domu.
- Gdzie mieszkają?
- Niedaleko stąd, w Quincy. Chcieli, żebym zaoszczędziła pieniądze i dojeżdżała na uczelnię, ale to nie byłoby prawdziwe studenckie życie. Kiedy ma się własne

mieszkanie, wygląda to zupełnie inaczej...

– Niech nam pani opowie o swojej sąsiadce – przerywa jej Frankie.

Helen przez chwilę się zastanawia, po czym wzrusza bezradnie ramionami.

– Wiem, że studiuje... studiowała... na ostatnim roku. Pochodziła z jakiegoś małego miasteczka w Maine. Na ogół prawie nie było jej słychać.

– Słyszała pani coś niezwykłego dziś w nocy?

– Nie. Ale jestem przeziębiona i wzięłam parę tabletek apapu. Obudziłam się dopiero niedawno, kiedy ktoś rozmawiał przez policyjne radio na korytarzu. – Helen ponownie zerka w stronę mieszkania. – Zostawiła list albo coś w tym rodzaju? – pyta. – Wyjaśniła, dlaczego to robi?

– A pani wie, dlaczego to zrobiła?

– Cóż, parę tygodni temu, kiedy zerwała ze swoim chłopakiem, była chyba w depresji. Ale myślałam, że już się pozbierała.

– Kim był jej chłopak?

– Ma na imię Liam. Widziałam go kilka razy, zanim ze sobą zerwali.

– Zna pani jego nazwisko?

– Nie pamiętam, ale wiem, że pochodził z tego samego miasteczka co ona. Też studiował na Northeastern. – Helen na chwilę przerywa. – Zadzwoniliście do jej matki? – pyta. – Czy już wie?

Frankie i Mac wymieniają spojrzenia. To jest rozmowa, której żadne z nich nie chce przeprowadzić, i Frankie dobrze wie, w jaki sposób Mac będzie próbował to na nią scedować. „Jesteś kobietą; lepiej sobie radzisz w takich sytuacjach”,

tłumaczy zwykle. Nie ma dzieci i w przeciwieństwie do niej nie potrafi sobie wyobrazić, jakim szokiem jest otrzymanie takiej wiadomości. Nie potrafi sobie wyobrazić, jak trudne są dla niej takie rozmowy.

Mac również zapisywał wszystko w notesie i teraz podnosi wzrok.

– Czyli jej chłopak ma na imię Liam, pochodzi z Maine i studiuje na Northeastern – upewnia się.

– Tak. Na ostatnim roku.

– Namierzenie go nie będzie chyba trudne. – Mac zamyka notes. – To by było na tyle – dodaje.

Frankie domyśla się po jego spojrzeniu, co chciałby powiedzieć. „Rzucił ją chłopak. Była w depresji. Czego ci więcej trzeba?”

□ □ □

Po odjeździe z miejsca zdarzenia Frankie powinna wrócić od razu do domu. Powinna wziąć prysznic, zjeść śniadanie i powiedzieć dzień dobry bliźniaczkom – jeżeli już wstały z łóżek. Ale jadąc do siebie do Allston, wybiera okrężną drogę. To tylko kilka przecznic dalej i na ogół udaje jej się opanować pragnienie, by spojrzeć na ten budynek. Jednak tego ranka jej subaru jakby samo zbacza z drogi i Frankie po raz kolejny uświadamia sobie, że zaparkowała naprzeciwko ceglanego bloku przy Packard's Corner i wpatruje się w mieszkanie na czwartym piętrze, gdzie wciąż mieszka ta kobieta.

Frankie zna jej nazwisko, wie, gdzie pracuje i ile dostała ostatnio mandatów za złe parkowanie. Wszystko to od dawna nie powinno jej obchodzić, ale obchodzi. Nie podzieliła się

tą wiedzą z nikim – ani z kolegami z wydziału zabójstw, ani nawet z własnymi córkami. Nie, zachowuje to wszystko dla siebie, bo sam fakt, że wie o istnieniu tej kobiety, jest tak cholernie upokarzający.

Dlatego siedzi teraz sama w aucie, w ten dżdżysty kwietniowy poranek, obserwując budynek, którego nie ma żadnego uzasadnionego powodu obserwować – chyba że chce się dręczyć. Wszyscy uznali, że doszła do siebie po tamtej tragedii i patrzy z optymizmem w przyszłość. Jej córki ukończyły z wyróżnieniem liceum, zrobiły sobie rok przerwy i obie są szczęśliwe, obie wręcz kwitną. Koledzy z bostońskiej policji nie unikają już jej wzroku i nie patrzą na nią ze współczuciem. Najgorsze było to współczucie – fakt, że wszyscy, łącznie z pierwszym lepszym posterunkowym, tak bardzo jej współczuli. Nie, jej życie wróciło do normy albo do czegoś, co ją przypomina.

A mimo to znów tu siedzi, w samochodzie zaparkowanym przy Packard's Corner.

Z budynku wychodzi kobieta i Frankie gwałtownie prostuje się w fotelu. Patrzy, jak kobieta przechodzi na drugą stronę ulicy i mija jej samochód, nie zdając sobie oczywiście sprawy, że ktoś ją obserwuje. Jasnowłosa, ma na sobie czarne legginsy i wciętą białą kurtkę, co podkreśla wąską talię i szczupłe biodra. Frankie też miała taką figurę, nim urodziła bliźniaczki. Zanim upływ lat, a także zbyt wiele godzin spędzonych za biurkiem i zbyt wiele zjedzonych w pośpiechu posiłków nie poszerzyły jej bioder i nie napompowały ud.

Widzi w lusterku wstecznym, jak kobieta idzie do stacji metra. Zastanawia się, czy nie wysiąść i nie ruszyć za nią.

Przedstawić się i zaproponować, żeby pogadały ze sobą jak kobieta z kobietą: najlepiej w małej kawiarence nieopodal. Nie jest jednak w stanie ruszyć się z miejsca. W trakcie swojej długiej policyjnej kariery wyważała kopniakami drzwi, śledziła zabójców i dwa razy patrzyła prosto w lufę pistoletu. Mimo to nie jest w stanie zmierzyć się z panią Lorraine Conover, lat 46, sprzedawczynią w Macy's, bez kryminalnej przeszłości.

Kobieta podchodzi do skrzyżowania i znika za rogiem.

Frankie osuwa się lekko na fotelu. Nie czuje się jeszcze na siłach, by przekręcić kluczyk w stacyjce i stawić czoło innym okropnościom, które przyniesie ten dzień.

Jedna martwa dziewczyna to chyba dosyć.

Trzy miesiące wcześniej

ROZDZIAŁ DRUGI

Taryn

Nikt nie wiedział, że tu jest. I nikt nigdy się nie dowie.

O wpół do dziesiątej rano wszyscy lokatorzy z drugiego piętra powinni być poza domem. Abernathy'owie spod numeru 2A, w swoim czasie tak irytująco przyjaźni wobec Taryn, na pewno wyszli już do pracy; on pracuje w dziale audytu bostońskiego ratusza, ona w Biurze Rozwoju Społeczności Lokalnych. Mieszkający w 2B dwaj doktoranci wydziału inżynierii powinni być gdzieś na kampusie i ślęczyć nad swoimi laptopami. Blondynki z 2C pewnie zaleczyły weekendowego kaca i powlekły się na zajęcia na Northeastern.

Nikogo nie powinno też być w 2D. W tym momencie Liam zmierzał na zajęcia z ekonomii po drugiej stronie kampusu, dobre piętnaście minut spacerem stąd. Po ekonomii miał niemiecki, potem zje lunch, najprawdopodobniej kanapkę z papryczkami jalapeños w klubie studenckim. Po lunchu szedł na zajęcia z nauk politycznych. Taryn znała jego rozkład dnia tak samo dobrze jak każdy zakamarek jego mieszkania.

Obróciła klucz w zamku, pchnęła cicho drzwi i weszła do

lokalu 2D. Był większy i o wiele ładniejszy od jej nędznego mieszkanka, w którym zalatywało pleśnią i zastarzałym fajczanym dymem. Tutaj, gdy wzięła głęboki oddech, czuła zapach Liama. Unosząca się w powietrzu mgiełka po porannym prysznicu. Cytrusowe nutki płynu po goleniu Sauvage. Słodka woń pełnoziarnistego tost, który zawsze jadł na śniadanie. Wszystkie te zapachy, za którymi tak tęskniła.

Każda rzecz, każdy mebel budziły w niej szczęśliwe wspomnienia. Na tej sofie oglądali w soboty wieczorem kiczowate horrory – on obejmując ją ramieniem, ona opierając głowę na jego piersi. Na tej półce honorowe miejsce zajmowała niegdyś ich fotografia, zrobiona tamtego lata, gdy oboje ukończyli liceum. Stali objęci na Bald Rock Mountain, a jego potargane wiatrem blond włosy lśniły w blasku słońca niczym aureola. Liam i Taryn do końca świata. Gdzie było teraz to zdjęcie? Dlaczego je schował?

Przechodząc do kuchni, przypomniała sobie ich niedzielne poranne naleśniki i mimozy z hiszpańskim winem musującym, bo prawdziwy szampan był dla nich za drogi. Na kuchennym blacie zauważyła plik wczorajszej poczty, rozcięte już koperty. Przeczytała list, który przysłała mu matka, dołączając wycinek z lokalnej gazety. Doktor Howard Reilly, ojciec Liama, otrzymał tytuł Obywatela Roku. Hip, hip, hurra! Przejrzała resztę poczty – rachunek za czynsz, kupony na pizzę, kwestionariusz karty kredytowej. Na samym dole była gruba broszura Wydziału Prawa Uniwersytetu Stanforda. Dlaczego interesował go Stanford? Wiedziała, że chce iść na prawo, ale nigdy nie wspominał o wyjeździe do Kalifornii. Uzgodnili wcześniej, że po studiach

oboje zostaną w Bostonie. Taki zawarli pakt. Taki był plan, który zawsze mieli.

To tylko broszura. Nie musi nic znaczyć.

W lodówce zobaczyła na półkach starych przyjaciół: sos Sriracha, majonez Hellmann's i napój czekoladowy. Ale wśród znanych produktów czaił się najeźdźca: niskotłuszczowy jogurt Chobani. Nie powinno go tu być. Przez wszystkie te lata z Liamem nigdy nie widziała, żeby pił jogurt. Nie znosił jogurtu. Ta anomalia tak bardzo wytrąciła ją z równowagi, że przez chwilę zastanawiała się, czy może weszła nie do tego mieszkania, otworzyła nie tę lodówkę. Tak jakby trafiła do równoległego świata, gdzie mieszkał fałszywy Liam, Liam, który pił jogurt i chciał wyjechać do Kalifornii.

Podenerwowana, ruszyła do sypialni, gdzie ubrania, które zrzucali niegdyś w weekendowe noce, leżały na podłodze niczym złączeni w uścisku kochankowie: jego koszula na jej bluzce. Tu także coś wydawało się nie w porządku. Łóżko było starannie posłane, prześcieradło naciągnięte. Kiedy nauczył się to robić? Czy kiedykolwiek w życiu posłał własne łóżko? Zawsze robiła to za niego.

Otworzyła szafę i spojrzała na wiszące koszule, niektóre nadal w foliowych workach z pralni. Wzięła w palce rękaw jednej z nich i przycisnęła twarz do świeżo wyprasowanej bawełny, wspominając chwile, gdy kładła mu głowę na piersi. Lecz uprane koszule pachniały tylko mydłem i krochmalem. Były anonimowe.

Zamknęła szafę i przeszła do łazienki.

W stojaku na szczoteczki do zębów, gdzie trzymała niegdyś swoją, tkwiła teraz wyłącznie jego własna, samotna,

zapomniana, bez partnerki. Taryn podniosła pokrywę kosza z praniem, przetrząsnęła jego zawartość i wyciągnęła jedną z koszulek. Kiedy wcisnęła w nią twarz, zapach Liama niemal ją odurzył. Miał tyle T-shirtów; nie zauważył braku jednego. Schowała go do swojego plecaka, żeby mieć jakąś jego część, coś, co pomogłoby jej przetrwać ten okres, gdy odgrywali farsę pod tytułem „Zróbmy sobie przerwę”. Ich separacja powinna się wkrótce skończyć. Byli ze sobą od tak dawna, że zrosili się w jeden organizm, ich ciała połączyły się w jedno, ich losy związały się raz na zawsze. Liam potrzebował po prostu czasu, by uświadomić sobie, jak bardzo za nią tęskni.

Wyszła na korytarz i cicho zamknęła za sobą drzwi. Poza ukradzioną koszulką zostawiła w mieszkaniu wszystko tak, jak było. W ogóle się nie domyśli, że tam zagłędała; nigdy się nie domyślił.

Na zewnątrz wiał lodowaty wiatr. Taryn naciągnęła na głowę kaptur kurtki i zawiązała mocniej szalik. Spędziła tam za dużo czasu; jeśli się nie pośpieszy, spóźni się na zajęcia. Mimo to nie mogła się powstrzymać – przystanęła na chodniku i po raz ostatni spojrzała na jego mieszkanie.

W tym momencie dostrzegła, że ktoś obserwuje ją z sąsiedniego okna. To była jedna z tych blondynek spod 2C. Dlaczego nie jest na kampusie, tak jak powinna? Kiedy Taryn myszkowała w mieszkaniu Liama, ta dziewczyna była w domu. Popatrzyły sobie prosto w oczy. Taryn zastanawiała się, czy blondynka słyszała jej kroki za ścianą. I czy powie Liamowi o jej wizycie.

Kiedy odchodziła stamtąd, serce waliło jej jak młotem. Może blondynka jej nie słyszała. A nawet jeśli słyszała,

przecież wcale nie musi informować o tym Liama. Taryn spędzała tu z nim kiedyś każdy weekend i była wcześniej w tym budynku dziesiątki razy.

Nie, nie ma powodu do paniki. Liam pewnie się o tym nie dowie.

Ruszyła szybszym krokiem. Jeśli się pośpieszy, może jeszcze zdążyć na zajęcia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jack

Nazywała się Taryn Moore i pojawiła się w życiu profesora Jacka Doriana w pierwszym dniu semestru, wchodząc na salę seminaryjną w srebrzystej kurtce pilotce i opinających nogi, lśniących czarnych legginsach. Zajęcia trwały już od dobrych dziesięciu minut. Mruknęła coś w charakterze przeprosin, przecisnęła się obok studentów stłoczonych w ciasnej sali i zajęła ostatnie wolne miejsce przy długim stole. Jack nie mógł nie zauważyć, jak ponętnie wyglądała, z figurą tancerki i rozwianymi ciemnorudymi włosami. Usiadła obok grubego chłopaka w czapce Red Soxów, położyła na stole notatnik i zmierzyła Jacka tak niedwuznacznym spojrzeniem, że na krótką chwilę zupełnie stracił rezon.

W zajęciach uczestniczyło piętnaście osób; więcej i tak nie zmieściłoby się w ciasnej sali seminaryjnej wydziału anglistyki. Grupa była tak niewielka, że Jack mógł nauczyć się wszystkich imion na pamięć.

– Pani nazywa się...? – zapytał, zerkając na listę studentów, którzy zapisali się na jego seminarium.

Pod chwytyliwym, co gotów był sam przyznać, tytułem

„Kochankowie spod nieszczęśliwej gwiazdy” mieli omawiać temat zakazanej miłości w literaturze, od starożytności po czasy współczesne. Jak można zachęcić zblazowanych studentów ostatniego roku do przeczytania *Eneidy*, *Tristana i Izoldy*, *Medei* czy *Romea i Julii*? Najlepiej sprzedać te wszystkie historie w seksownym opakowaniu miłości, pożądania i tragicznego fatum. Jakie ponure okoliczności doprowadziły do śmierci kochanków? Jakie religijne, polityczne i społeczne czynniki spowodowały, że ich miłość była skazana na klęskę?

– Taryn Moore – odparła.

– Witaj, Taryn – powiedział i odhaczył jej nazwisko na liście.

Znalazł w swoich notatkach miejsce, w którym przerwał, i podjął wykład, ale siedząca przy końcu stołu dziewczyna przez cały czas zbijała go z tropu. Może dlatego wołał na nią nie patrzeć. Już wtedy, w tym pierwszym dniu, wewnętrzny głos ostrzegał go, że powinien na nią uważać.

W czwartym tygodniu seminarium okazało się, że jego wewnętrzny głos miał rację.

Dyskutowali na temat listów Abelarda i Heloizy. Znacznie starszy od Heloizy Abelard był słynnym dwunastowiecznym filozofem i teologiem w szkole działającej przy katedrze Notre Dame w Paryżu. Heloiza była jego wybitnie uzdolnioną uczennicą. Nie zważając na religijne i społeczne zakazy, Abelard i Heloiza zostali kochankami. Heloiza zaszła w ciążę i otoczona atmosferą skandalu wylądowała w klasztorze. Jej wuj ukarał Abelarda w okrutny sposób: wynajęci przez niego oprawcy wykastrowali nieszczęsnego teologa, który sam również trafił do klasztoru. Choć na

zawsze ich rozdzielono, Heloiza i Abelard nie przestali się kochać i pisali do siebie listy, dokumentujące tragedię dwojga kochanków spod nieszczęśliwej gwiazdy, pary, która nigdy w życiu nie miała się już spotkać.

– W ich listach odnajdziemy wiele fascynujących szczegółów na temat życia klasztornego w średniowiecznej Europie – powiedział Jack do swoich studentów. – Lecz tym, co sprawia, że są one tak znaczące i ponadczasowe, jest tragiczna miłość Heloizy i Abelarda. Ta tragedia ich definiuje; to, że cierpią w imię miłości, nadaje im rysy heroiczne. Ale czy waszym zdaniem ofiary, które ponieśli, są równorzędne? Postawa którego z kochanków wydaje się wam bardziej heroiczna?

Rękę podniosła poważna jak zawsze Beth.

– Biorąc pod uwagę normy, jakim podlegały wówczas kobiety, uważam, że tym, co najbardziej imponuje u Heloizy, jest jej niezłomność – oznajmiła i zerknęła do tekstu. – Pisz z klasztoru, że tak jak inni „są poślubieni Bogu, ja jestem poślubiona mężczyźnie”. A trochę dalej: „Tylko Abelard jest moim panem”. Heloiza była bezkompromisowa, za nic miała ówczesne tabu. Powiedziałabym, że to ona jest prawdziwą bohaterką.

Profesor Dorian pokiwał głową.

– I nigdy nie wyrzekła się miłości do Abelarda – dodał.

– Pisz, że pójdziesz za nim nawet do piekła. To się nazywa autentyczne oddanie.

– Moja dziewczyna nie chce ze mną pójść nawet na mecz Bruinsów – wtrącił Jason.

Studenci parsknęli śmiechem. Jacka cieszyło, że w przeciwieństwie do tych dołujących dni, kiedy mówił tylko

on, a seminarzyści wpatrywali się w niego znudzonym szklistym wzrokiem, tym razem wszyscy brali udział w ożywionej dyskusji.

– Podobało mi się też, jak Heloiza opisuje seksualne fantazje, jakim oddawała się podczas mszy – ciągnął Jason.
– Człowieku, to coś, co w pełni rozumiem. W Kościele greckokatolickim Litania do Miłosierdzia Bożego trwa bite dwie godziny. Dość długo, żebym przeleciał tuzin dziewczyn. Oczywiście w wyobraźni.

Kolejny wybuch śmiechu. Jack zerknął w tym momencie na Taryn. Wcześniej pracowicie coś notowała, teraz podniosła rękę.

– Tak, Taryn? – zapytał.

– Mam problem z tą historią – oświadczyła. – Tak samo jak z innymi, które omawiamy na pana seminarium.

– To znaczy?

– We wszystkich tekstach, które zadał pan nam do tej pory, powtarza się ten sam motyw. Mężczyźni nieodmiennie zdradzają kobiety, które, jak twierdzą, pokochali. Heloiza poświęca wszystko dla miłości. Mimo to większość badaczy uważa, że to Abelard jest prawdziwym bohaterem.

W jej głosie Jack usłyszał autentyczną pasję. Skinął głową, żeby kontynuowała.

– Sam Abelard, ze względu na to, co wycierpiał, widzi siebie jako kogoś w rodzaju romantycznego bohatera, lecz ja patrzę na to inaczej. Owszem, to straszne, że go wykastrowano. Ale podczas gdy Heloiza podtrzymuje płomień ich uczucia, Abelard wyrzeka się w końcu wszelkich łączących go z nią seksualnych więzi. Z własnej woli przedkłada służbę Bogu nad miłość. Za to ona nigdy nie przestaje go żarliwie kochać.

– Trafne spostrzeżenie – stwierdził Jack i mówił szczerze. Taryn najwyraźniej czytała teksty ze zrozumieniem i analizowała je głębiej od innych studentów, którym w większości zależało wyłącznie na tym, żeby przy minimalnym wysiłku zdobyć zaliczenie. Jej przenikliwość i intelektualny entuzjazm sprawiały, że nauczanie stawało się przyjemnością. To właśnie dla osób takich jak ona uprawiał ten zawód. Żałował, że nie ma ich więcej. – Masz rację, ona nadal żarliwie go kocha, podczas gdy on woli podążać ścieżką świętych mężów i wyrzec się ziemskich rozkoszy.

– Przez to wydaje się taki szlachetny – podjęła Taryn – ale pomyślcie, ile poświęciła dla niego Heloiza. Swoją wolność i młodość. Swoje własne dziecko. Wyobraźcie sobie, jak bardzo musiała być zdesperowana, gdy napisała: „Byłam tylko twoją kurwą”. Tak jakby zdawała sobie sprawę, że ją porzucił i pozwolił jej gnić w klasztorze.

– Och, daj spokój – prychnęła Jessica. – Zamknęli ją w klasztorze, bo takie były wtedy społeczne i religijne realia. On jej tam nie wysłał.

Caitlin, sublokatorka Jessiki, pokiwała głową na znak, że się z nią zgadza. Jack nie rozumiał, dlaczego te dwie dziewczyny zawsze odnosiły się do Taryn z taką niechęcią; wymieniały między sobą spojrzenia i przewracały oczami za każdym razem, gdy ona ujęła coś w oryginalny sposób. Czy wynikało to z zazdrości, czy z czegoś innego?

– Nieprawda – odparła Taryn i wyszukała odpowiednią stronę w tekście. – Heloiza pisze: „Tylko na twoje polecenie znalazłam się za tymi murami”. Zrobiła to dla niego. Zrobiła dla niego wszystko. To chyba oczywiste dla każdego, kto przeczytał całość listów.

Jessica poczerwieniała.

– Przeczytałam całość! – oznajmiła podniesionym głosem.

– Nie twierdzę, że nie przeczytałaś.

– Ale to sugerujesz.

– Posłuchaj, tekst wydrukowano drobnym drukiem.

Może po prostu umknęła ci puenta.

– Co za dziwka – mruknęła Jessica, odwracając się do Caitlin.

– Jessica? Czy dobrze usłyszałem? – zapytał Jack.

– Nic nie mówiłam – odparła, z niewinnym uśmiechem patrząc mu prosto w oczy.

Jednak inni najwyraźniej także to usłyszeli, bo atmosfera na sali zrobiła się nieprzyjemna.

– Na tych zajęciach nie ma miejsca na osobiste ataki – oświadczył Jack. – Czy to jest jasne?

Jessica w milczeniu wpatrywała się prosto przed siebie.

– Jessica?

– Tak, oczywiście.

Najlepiej było zapomnieć o tej drobnej scysji. Jack spojrzał na Taryn.

– Powiedziałaś, że Abelard zdradził Heloizę. Mogłabyś to rozwinąć?

– Heloiza poświęciła dla niego wszystko. Pragnie od niego słów otuchy, zapewnienia, że nadal ją kocha. A co robi Abelard? Píše, żeby przyjęła na siebie krzyż. To moim zdaniem pokazuje, że był bezdusznym palantem, utrzymującym, że wycierpiał więcej od niej.

– Pamiętajmy, że ucięli mu jaja – wtrącił Jason.

Kolejny wybuch śmiechu pomógł rozładować napięcie, ale

Jack zauważył, że Jessica i Caitlin wcale się nie roześmiały. Szeptały coś, nachylone do siebie.

Chcąc wciągnąć do dyskusji kogoś nowego, spojrział na Cody'ego Atwooda, który siedział jak zwykle obok Taryn. Był nieśmiałym chłopakiem, wiecznie chowającym się pod swoją czapkę baseballową, którą nasuwał czasami na czoło tak nisko, że nikt nie widział jego oczu.

– Co ty o tym sądzisz, Cody? – zapytał Jack.

– Ja... to znaczy... uważam, że Taryn ma rację.

– Jak zwykle – prychnęła Jessica. – Cienias – rzuciła szeptem do Caitlin.

Jack postanowił to zignorować, bo nikt inny najwyraźniej nie usłyszał obraźliwego komentarza.

– Po prostu zgadzam się z Taryn, że Abelard zachował się jak palant – mówił dalej Cody. – Był jej nauczycielem, w dodatku dwa razy od niej starszym. Wykorzystał swoją uczennicę, więc był jeszcze większym palantem.

– Mamy tu do czynienia z podobną dynamiką co w późniejszych utworach literackich – powiedział Jack. – Przypomnijcie sobie *Ludzką skazę* Philipa Rotha i *Korekty* Jonathana Franzena. Wielu z was czytało też na pewno *Zaginioną dziewczynę* Gillian Flynn. We wszystkich tych historiach powtarza się motyw wykładowcy, który zakochuje się w swojej studentce.

– Zupełnie jak w filmie *Napalona na profesorka* – odezwał się Jason.

– Słucham?

– To taka kiczowata młodzieżowa komedia.

Jack roześmiał się.

– Ciekawe, że umknęła mojej uwadze – mruknął.

– Więc taki jest prawdziwy temat tych zajęć, panie profesorze? – zapytała Jessica. – Wykładowcy, którzy zaliczają napalone studentki?

Jack przez chwilę się jej przyglądał, zdając sobie sprawę, że wkroczyli na niebezpieczny teren.

– Zwracam wam tylko uwagę, że to jest temat, który stale pojawia się w literaturze. Te historie pokazują, jak i dlaczego może dochodzić do sytuacji, które nie są społecznie akceptowane. Pokazują, że każdy, nawet ktoś, kto stara się przestrzegać zasad moralnych, może dać się wciągnąć w zgubną dla niego aferę seksualną.

Jessica uśmiechnęła się i zabłysły jej oczy.

– Każdy, panie profesorze?

– Mówimy tutaj o bohaterach literackich, Jessico.

– A tak naprawdę co jest takiego strasznego, jeśli wykładowca zakocha się w zauroczonej nim studentce? – wtrącił Jason. – Nie ma o tym mowy w dziesięciu przykazaniach. „Nie będziesz sypiał z napalonymi uczennicami twojemi”.

– Ale jest przykazanie dotyczące cudzołóstwa – zauważyła Beth.

– Abelard nie był żonaty – powiedziała Taryn. – A swoją drogą, dlaczego o tym mówimy? Zboczyliśmy z tematu.

– To prawda – przyznał Jack, spoglądając na zegar i z ulgą widząc, że zajęcia zbliżają się do końca. – W porządku, chciałbym was o czymś poinformować i chyba wam się to spodoba. Za dwa tygodnie w Muzeum Sztuk Pięknych otwierają wystawę zainspirowaną historią Heloizy i Abelarda. Kuratorka zgodziła się osobiście nas po niej oprowadzić. Zamiast tu, na kampusie, będziemy mieć zajęcia w terenie.

Zapiszcie to sobie w kalendarzach, a ja i tak wyślę maila, żeby wam o tym przypomnieć. Ale za tydzień spotykamy się jak zwykle tutaj. Przygotujcie się, proszę, do dyskusji o *Eneidzie*!

Kiedy studenci wychodzili z sali, Jack zebrał notatki i schował je do teczki. Zdał sobie sprawę, że Taryn stoi przy jego biurku, dopiero kiedy się odezwała.

– Nie mogę się doczekać tych zajęć w terenie, panie profesorze. Widziałam na stronie muzeum kilka ilustracji i to będzie chyba wspaniała wystawa. Dziękuję, że pan to załatwił.

– W porządku. Swoją drogą, twoja praca na temat Medei jest bardzo interesująca. To najlepsza praca, jaką przeczytałem w tym semestrze. Tego rodzaju głębokiej refleksji spodziewałbym się raczej po słuchaczach studiów doktoranckich.

– Naprawdę? Mówi pan serio? – Taryn się rozpromieniła.

– Tak. Jest wnikliwa i świetnie napisana.

Złapała go impulsywnie za rękę, jakby dobrze się znali.

– Dziękuję. Jest pan najlepszy – powiedziała.

Pokiwał głową i uwolnił dłoń z jej uścisku.

Zauważył nagle, że z progu sali obserwuje ich Jessica, i nie spodobało mu się to, co zobaczył na jej twarzy. Nie spodobał mu się również niedwuznaczny seksualny gest, jaki pokazała towarzyszącej jej Caitlin, wsuwając i wysuwając palec z zaciśniętej dłoni, kiedy Taryn opuszczała salę. Caitlin zachichotała i obie wyszły na korytarz. Praca Jessiki była bardzo przeciętna i z olbrzymią satysfakcją ocenił ją na trzy minus.

Zamknął głośno teczkę, bardziej zaniepokojony

obscenicznym gestem Jessiki, niż gotów był to przyznać. Dopiero gdy sala już całkiem opustoszała, włożył płaszcz i wyszedł z budynku. Na dworze wiał zimny styczniowy wiatr.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).